

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/solidarnosc/70716,Solidarnosc-na-ulicach.html>



ARTYKUŁ

Solidarność na ulicach

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: KINGA HAŁACIŃSKA 02.07.2021

O Piotrze Rzewuskim słyszało niewielu, a przecież jest to z pewnością jeden z najbardziej wytrwałych i bezkompromisowych opozycjonistów lat osiemdziesiątych.

Szare teczki z dokumentami z lat stanu wojennego w Instytucie Pamięci Narodowej. Sygnatura akt śledczych: S-103/82. Można w nich przeczytać:

„Podejrzany Marek Boszko, syn Józefa, rocznik 1957. Oskarżony m.in. o to, że działając wspólnie i w porozumieniu z Kazimierzem Hałatem w celu przeprowadzenia akcji protestacyjnej, polegającej na uniemożliwieniu odbycia się akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, zakłócił prawidłowe funkcjonowanie Teatru Wielkiego w Warszawie. W ten sposób, że na widowni tego teatru rozrzucił trzy fiolki szklane, zawierające akrylan metylu i dwa granaty łzawiące typu UGŁ-200”.

Oskarżonym w tej sprawie był również Hubert Kossowski.

„Chłopcy mieli zasmrodzić widownię przed fetą z udziałem towarzyszy radzieckich. Udało się. Śmierdziało i lzy leciały, władze musiały zmienić miejsce przeprowadzenia akademii. To była organizacyjnie pośrednio i moja akcja. Dostarczyłem im granat, ale udziału w niej nie brałem. Stało się to 6 listopada 1982 r. Siedziałem już wtedy od dwóch dni na Rakowieckiej.”

Tak rozpoczyna opowieść o czasach stanu wojennego Piotr Rzewuski, długowłosa mężczyzna o przenikliwych oczach, dziś przewodniczący stowarzyszenia Solidarność Walcząca w Warszawie.



Demonstracja Solidarności przed katedrą św. Jana w Warszawie, 1 maja 1984 r. Fot. AIPN

Młodość dla Solidarności

Strajki solidarnościowe wybuchły, gdy miał 24 lata. Cieszył się. Antysystemowość wyniósł z domu rodzinnego. Wola Sławińska to dzisiaj dzielnica Lublina, dawniej majątek jego dziadków. W szkole słyszał o złych obszarnikach, którzy gnębili chłopów. Kiedy jako młody chłopak pojechał tam z rodziną, przyjmowano ich ze łzami. Wychowywał się w blokach najpierw w Aninie, potem na podwarszawskim Marysinie. Ojciec, anglista na politechnice, dbał, by syn miał świadomość, co się dzieje w kraju.

„W 1968 r. trwał strajk studentów, a my razem z tatą podjechaliśmy pod politechnikę. Wrzucaliśmy dla strajkujących studentów jedzenie. Zawiózł mnie też wtedy na uniwersytet, żebym wiedział i pamiętał”

- wspomina Piotr Rzewuski.

Ta jego wiedza przekładała się na problemy w szkole. Był typem buntownika. W piątej klasie odmówił złożenia przysięgi harcerskiej, założył własną grupę z takimi samymi jak on. W ósmej klasie zawieszono go w prawach ucznia. Poszedł więc do wieczorówki, skończył ją z nagrodami. W liceum już pracował. W 1980 r. ożenił się, na świat przyszło dziecko. Gdy przez Polskę przetaczała się fala strajków, właśnie trafił na etat w warszawskim oddziale Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Po tygodniu został szefem tamtejszego koła Solidarności. W czerwcu 1981 r. kończyła mu się umowa i nie została przedłużona. Jednak, gdy wybuchł stan wojenny, nadal był wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy TOZ.

„Nie byłem znanym działaczem, nie internowano mnie. Ale miałem dobre kontakty w regionie, co potem się przydało”

- uśmiecha się.

Rankiem 13 grudnia pojechał pod siedzibę Regionu Mazowsze. Żona go powstrzymywała. „Nie ryzykuj, masz małe dziecko” - mówiła, ale on czuł, że trzeba działać. Pod budynkiem stała milicja, pomyślał: „Nic tu po mnie”. Następnego dnia zjawił się w dawnym miejscu pracy. Wraz z Małgorzatą Zembrowską, koleżanką z Solidarności, wynieśli papier, matryce, pieniądze, książki i powielacz spirytusowy.

„Do drukowania się nie nadawał, ale plakaty można było na nim zrobić. Pierwsze «Wrona Orła nie pokona»

powstały na Służewie. Spokojne mieszkanie przy ul. Bacha, gdzie mieszkała Małgosia z mężem Marianem, który włączył się do naszej pracy”

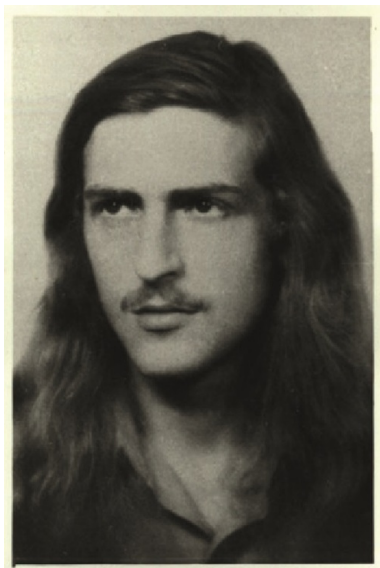
- mówi Rzewuski. Setkę porzlepiął sam w centrum stolicy. Nikt go nie niepokoił.

W tym czasie spotkał się z Markiem Hołuszką, ukrywającym się członkiem Zarządu Regionu Mazowsza. Ustalili, że coś należy robić. Zaczęli spotykać się z ludźmi z warszawskich zakładów pracy.

„Nie byłem robotnikiem, to Marek miał więcej kontaktów. To on organizował MKK (Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną). Ja budowałem własną strukturę, niezależnie od struktur związkowych. Na początku były trzy osoby, potem około trzydziestu. Mój sukces polegał na tym, że stworzyłem ją z osób, których nie znałem”

- wspomina.

Mieli robić akcje ulotkowe, malować na murach. Ucieszył go kontakt z Jackiem Turskim, studentem polonistyki. Wraz z kolegami stworzyli gazetkę „Druk”. Mieli dostęp do informacji i dobry kolportaż.



Piotr Rzewuski Fot. AIPN

Rzewuski przez cały czas brał udział w tajnych spotkaniach MKK NSZZ „Solidarność”. W opozycyjnych

kontaktach posługiwał się pseudonimami „Nordek” i „Przemek”. Zauważył, że w zakładach pracy zaczęły funkcjonować różne podziemne struktury, rywalizujące ze sobą. W czerwcu 1982 r. poznał Teosia Klincewicza, który zakładał grupy do zadań specjalnych. Przypadli sobie do gustu. Umówili się, że ich chłopcy będą wspólnie zabezpieczać przed ZOMO zapowiadaną na 31 sierpnia demonstrację solidarnościową. Mieli mieć ze sobą butelki z benzyną, kolce, RMG, czyli ręczne miotacze gazowe. Ale nie mieli szczęścia. Konspiracja tym razem zawiodła. Pod adresem, gdzie podali hasło, zamiast odzewu usłyszeli: „Oj, to chyba piętro wyżej”. Ale kolejna wspólna akcja była już sukcesem – na Barbakanie warszawskiej Starówki wmurowali tablicę poświęconą pamięci ofiar Grudnia.

„Ekipa, która ją montowała, udawała robotników. Reszta chłopców obstawiała ich, ale równocześnie malowaliśmy na murach znaki Solidarności Walczącej. Udało mi się zrobić taki piękny na gmachu prokuratury. Inni rozrzucali na ulicach ulotki. Wchodziliśmy na dachy, ale najczęściej szły prosto z ręki. Ktoś wsiadał do autobusu i je zamasyście wrzucał”

– relacjonuje Rzewuski.

W więzieniu

Jego grupa postanowiła postawić 1 listopada 1982 r. na Powązkach Wojskowych krzyż. Wybrali miejsce w okolicach Dolinki Katyńskiej. Widać go było z daleka, ogromny, siedmiometrowy, z dwiema tablicami. Na jednej widniały nazwiska ofiar stanu wojennego, a na drugiej znalazł się fragment wiersza Adama Asnyka. Postawili ten krzyż w nocy. Nad ranem miały przyjść i opiekować się nim panie spod krzyża kwietnego z pl. Zwycięstwa.

„Czekamy na nie do świtu, ale nie doczekaliśmy się. Koło siódmej postanowiliśmy się zbierać i gdy szliśmy w stronę wyjścia, nagle ruszyło w naszym kierunku kilku panów po cywilnemu. Wiedziałem, kim są, choć potem w zeznaniach utrzymywałem, że nie wiem. Twierdziłem, że myślałem, że to chuligani lub bandyci, którzy nas zaczepiali. Gdy wtedy, na cmentarzu, zażądali dokumentów, to się odwróciłem i jednemu z nich dałem gazem po oczach. Potem cios w głowę. Moja szybka reakcja ostudziła ich i zdołaliśmy dobiec do furtki”

– wspomina.

Niestety, najmłodszy z siódemki spiskowców pobiegł między groby i tam go dorwali. Wszyscy biorący udział w akcji dobrze się znali, pracowali razem. Znali swoje dane. Wieczorem sami się zgłosili na komisariat.

„Nie wydali mnie, bo byłem z zewnątrz. Znali tylko mój pseudonim. Ale opowiedzieli, że taki ktoś taki jak ja jest, i wspomnieli o wcześniejszych akcjach, w których brali ze mną udział”

- opowiada Rzewuski.

Mimo nieprzespanej nocy dotarł na spotkanie do Teosia Klincewicza. Zdał relację z tego, co się wydarzyło. Ostrzegł też przed kolegą z konspiracji o pseudonimie „Tadeusz”. Uważał, że donosi on Służbie Bezpieczeństwa. Choć padał z nóg ze zmęczenia, ruszył na Służew, by ostrzec Zembrowskich.

„Chciałem im powiedzieć, że lepiej by oczyścili mieszkanie. Było koło południa. Małgosia mówi: «Poczekaj, dam ci obiad, a potem pójdziesz». Zasnąłem na stole. Gdy się obudziłem, w kuchni było pełno ubecji. Robili rewizję, a ja udawałem przypadkowego, skacowanego gościa, który wpadł na obiad. Zostałem nawet świadkiem rewizji. Gdy wyciągnęli nasze plakaty, powielacz, zacząłem grać zdziwionego. «No, żebym ja wiedział, że wy takie rzeczy macie, tobym do was na obiad nie przychodził». Esbecy wzięli to za dobrą monetę. Gdy chodziłem do toalety, pozbywałem się z kieszeni rzeczy, które mogłyby mnie zdradzić. Po trzech, czterech godzinach mówię im, że już muszę jechać, a oni sympatycznie, że «jeszcze chwila, bo kolega spisuje protokół, a pan musi podpisać». I wtedy wszedł do mieszkania ten esbek, który rankiem dostał ode mnie w twarz na cmentarzu. Od razu przestało być miło”

- wspomina Rzewuski.



Materiały dowodowe znalezione

przez SB u Piotra Rzewuskiego.

Fot. AIPN

W kajdankach wyprowadzono go do czarnej wołgi. Jeden z funkcjonariuszy odbezpieczył broń i straszył zabiciem w razie ucieczki. Zawieźli go nad Wisłę. Pytali, czy słyszał o topielcach. Odpowiedział, że tak, tylko żeby go wywieźli dalej, gdzie woda czystsza. Trafił do Pałacu Mostowskich, siedziby Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Kapitan Celejewski z miejsca przedstawił, co na niego mają. Padła też propozycja – wyjazd na Zachód w zamian za doprowadzenie ich do ukrywającego się Zbyszka Bujaka.

„Prokurator Walczyk chciał zrobić z jego sprawy pokazówkę przed Warszawskim Sądem Garnizonowym, marzyła mu się kariera prawnicza i akt oskarżenia był bogaty. Mówił mi też, co zeznali moi chłopcy. A ja mu na to, żeby ich wypuścił, bo to ja ich do tego namówiłem. I tak się stało – wyszli po pięciu miesiącach. Zatrzymali tylko Mariana Zembrowskiego, bo, podobnie jak ja, twierdził, że wszystko robił świadomie”

- wspomina Rzewuski.

W więzieniu dał się klawiszom we znaki. Stał łóżko po swojemu, nie składał w kostkę ubrania. Naczelnik więzienia skarżył się jego żonie, że tak krnąbrnego więźnia jeszcze nie miał. Gdy siedział w celi razem z Janem Rulewskim i z Edkiem Mizikowskim, już nikt nie żądał od nich ścielenia łóżek. Zorganizowali głodówkę, bo zbliżała się wizyta Jana Pawła II w Polsce. Rozprawa była cały czas w toku. Prokurator żądał dla Rzewuskiego czterech lat, jednak do ogłoszenia wyroku nie doszło. Po dwóch godzinach sąd stwierdził, że nie jest właściwy do rozpoznania sprawy. Przyszedł lipiec 1983 r., a wraz z nim amnestia.

Walki z komuną ciąg dalszy

Po dziewięciu miesiącach spędzonych w więzieniu Piotr Rzewuski wrócił do żony i dziecka. Dała sobie radę, była otoczona wsparciem ludzi z Solidarności. Postanowili odpocząć, wybrali się nad Wigry. Wtedy odwiedził ich Tomek Karpiński, najmłodszy z grupy stawiającej krzyż. Osiemnaste urodziny obchodził w więzieniu, ale chciał coś zrobić dalej. Postanowili dokończyć sprawę upamiętnienia pomordowanych w kopalni „Wujek”. Tym razem na Powązkach miała stanąć tablica z ich nazwiskami.

„Zrobiliśmy to w ciągu dnia. Po prostu weszliśmy w rozmodlony tłum pań. Byłem z nimi w stałym kontakcie, bo wcześniej wydałem im śpiewniki. Przyszły, śpiewały, modliły się, a my w tym czasie murowaliśmy.

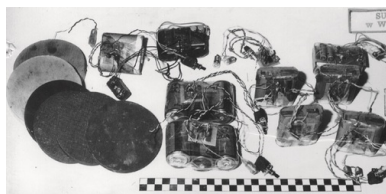
Spokojnie wyszliśmy z cmentarza”

- mówi Rzewuski.

By zarobić na utrzymanie rodziny, poszedł do pracy w ośrodku opieki społecznej na Grochowie - tam, gdzie pracowała jego żona. W innych miejscach odmawiano mu zatrudnienia, gdy tylko przychodziły jego papiery. Z Grup Oporu nie zrezygnował - z chłopcami od Klincewicza rozrzucali ulotki. Rzewuski stale rozmyślał, jak robić to lepiej, skuteczniej. Dzięki znajomym z nowego miejsca pracy trafił na Krzysztofa Michalskiego. Chłopak był konstruktorem z zakładów urządzeń telefonicznych ZWUT i miał swoje hobby - na każde święta konstruował petardy. Rzewuski postanowił, że skorzystają z jego talentów. W styczniu 1984 r. rozpoczęli eksperymenty. Wypchali stalową rurę gazetami i środkiem przygotowanym przez Krzysztofa. Gazety co prawda wyleciały, ale przypalone. Po wielu próbach zdecydowali się na używanie do swoich wyrzutników pirotechnicznych dwudziestopięciocentymetrowej rury PCV, zamkniętej od dołu krążkiem. Po raz pierwszy odpalili je na Starówce.

„Lont był krótki. Za daleko nie mogliśmy odejść. Dopóki dla ubeków to była nowość, byliśmy bezpieczni”

- wspomina.



Urządzenia elektroniczne wykorzystywane do produkcji ładunków wybuchowych. Fot.

AIPN

Na ulotkach napisali po prostu, że „Solidarność Walczy”. Nie przestali kombinować dalej. Wprowadzili elektroniczny opóźniacz zapłonu. Wszystko po to, by mieć półtorej minuty na odejście.

„Pierwszą pokazówkę zrobiliśmy między pl. Konstytucji a Składnicą Harcerską. Potem te wyrzutniki zaczęli stosować inni chłopcy z Grup Oporu”

- opowiada Rzewuski.

Tą metodą fruwały ulotki we Wrocławiu, w Katowicach, Częstochowie, Poznaniu i Szczecinie. Było o nich głośno.

Głośno było na warszawskich ulicach, gdy Grupy Oporu odpalały tzw. gadały. Były to urządzenia nagłaśniające domowej produkcji, magnetofony z głośnikiem zasilane akumulatorem. Uruchamiali je, gdy odchodzili na odległość kilkudziesięciu kroków. Dzięki temu urządzeniu warszawiacy usłyszeli w rocznicę Powstania Warszawskiego głos Zbigniewa Bujaka, a więźniowie na Rakowieckiej solidarnościową audycję.

W 1985 r. Rzewuski rozluźnił jednak kontakty z ludźmi od Klincewicza. Powodem był wspomniany mężczyzna o pseudonimie „Tadeusz”. Człowiek, do którego Rzewuski nie miał zaufania, został prawą ręką Teosia i oczekiwał, że Piotr ujawni osoby, z którymi pracuje. A on chciał zachować niezależność.

„Wyczuwałem, że próbuje wnikać w różne struktury, chronilem więc swoją”

- tłumaczy.

Wtedy oskarżono go o malwersacje. Oddał więc swojemu zastępcy, Mariuszowi Zielińskiemu, rozliczenie finansowe, wyjaśnił, ile kosztowały poszczególne akcje i podpisał dokument swoim imieniem i nazwiskiem.

W maju wezwano go na przesłuchanie, esbecy zaproponowali mu współpracę. Odmówił. W lipcu przyszli po niego pierwszego dnia pracy, po powrocie z urlopu. W Pałacu Mostowskich zobaczył na biurku funkcjonariusza swoje rozliczenie. Dokument stanowił jedyny dowód w kolejnej sprawie, jaką mu wytoczono. Znowu trafił na Rakowiecką 31 lipca 1985 r. „Zainteresowała się mną nawet telewizja” - uśmiecha się. Wyparł się wszystkiego. Zakwestionował swój podpis. Sędzia Kołtuniak i prokurator Aleksandrowicz żądali pięciu lat więzienia. W uzasadnieniu była mowa o terroryzmie i wysadzaniu komisariatów. Dostał dwa i pół roku. Wyrok się nie uprawomocnił, bo znów przyszła amnestia. Wyszedł po czternastu miesiącach, jako jeden z ostatnich. W styczniu 1986 r. przyszło na świat jego kolejne dziecko. Niestety, martwe.



Urządzenia miotające ulotki. Fot.

AIPN

Pod celą na Rakowieckiej Rzewuski poznał Zbigniewa Romaszewskiego. Gdy tylko wyszedł, poszedł mu podziękować za pomoc. A on na to: „Ty mi nie dziękuj, tylko się weź do roboty”. Zaczął więc działać w Komisji Interwencji. Podjął pracę w spółdzielni Unikom, został przedstawicielem handlowym. Zaangażowali go ludzie, których poznał w Ursusie. Wszyscy konspirowali, a pomocą służył im adwokat Bogusław Nizieński – wspaniały mecenas, do którego mogli się zwrócić z każdym problemem. To wtedy trzeba było przewieźć kilka osób na spotkanie z Czechami. Rzewuski pożyczył poloneza i pojechali: Jacek Kuroń, Zbigniew Romaszewski, Anatol Lawina i Jan Lityński. Mieli dojechać w Sudety, ale samochód zepsuł się w Rawie Mazowieckiej. Żaden mechanik nie podjął się naprawy. Wrócili na holu do Warszawy i przesiedli się do fiata. „Mojego służbowego. Dotarliśmy na umówione spotkanie z kilkugodzinnym opóźnieniem” – relacjonuje Rzewuski. Przerzucił też powielacz dla Karty. Poprosił go o to Zbigniew Janas. Mieli go dostarczyć Czechom, a miejscem spotkania był szczyt Grześ w Tatrach Zachodnich. Powielacz ważył 30 kilogramów i ledwo mu się udało go wynieść z Grzegorzem Podbielskim z Doliny Chochołowskiej.

„Pod koniec lat osiemdziesiątych nie miałem poczucia, że komuna się kończy. Raczej, że nasza walka jest beznadziejna. Towarzystwo się wykruszało. I nie chodzi mi o aktywnych działaczy, ale o wspomagającą grupę. Ludzie byli zmęczeni. Miałem wrażenie, że przyzwolenie społeczne na naszą działalność jest na wyczerpaniu. Dlatego początek «okrągłego stołu» przyjąłem z ulgą”

– opowiada.

Wykonał jedną z pierwszych pieczętek Komitetu Obywatelskiego. Mieli startować do Sejmu. Najpierw miały się odbyć prawyborzy środowiskowe, a potem pojawił się pomysł ze zdjęciami z Lechem Wałęsą.

„Często słyszałem, że uważają go za bufona i buca. No to zapytałem, dlaczego nie prawyborzy, dlaczego

godzicie się na zdjęcie z człowiekiem, którego nie szanujecie? Przecież z waszymi nazwiskami przejdziecie na pewno. I wtedy usłyszałem: «Jak ty możesz!». Jedynie Jacek Kuroń był szczery: «Wiesz, Piotrek, ja czuję, że nawet gdyby zdjęcie z małą miałoby mnie tam wprowadzić, to ja się na to zdecyduję». Powiedział to otwarcie”

- wspomina Rzewuski.

Zapomniany bohater

Po 1990 r. wyłączył się z działalności politycznej. Do środowiska Grup Oporu „Solidarni” miał dystans. W 2005 r. Kazimierz Hałat zaprosił go na spotkanie dawnych kolegów. Miała być mowa o „Tadeuszu”, czyli Marianie Pękalskim, który w czasach komuny posługiwał się nazwiskiem Kotarski. Był majorem kontrwywiadu, skierowanym do rozpracowywania opozycjonistów. Wszystko się wyjaśniło.

Wtedy poznał Włodzimierza Domagalskiego z Solidarności Walczącej z Łodzi, który przymierzał się do pisania o Grupach Oporu. Zaprosił go na spotkanie Solidarności Walczącej.

„Poszedłem i zostałem. Był tam Edek Mizikowski, którego znałem z pierwszej odsiadki na Rakowieckiej i MRKS-u (Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności). W czasie komuny zdarzało się nam razem coś robić. W 1987 r. MRKS wszedł w struktury SW”

- wyjaśnia.

„Czułem się w tym środowisku dobrze. Byli podobni, tylko nie chcieli w 1989 r. pójść na kompromis z czerwonym. Spotkałem w opozycji Teosia Klincewicza, a nie Kornela Morawieckiego. Tylko że wtedy nie pytało się: «Skąd jesteś?». – Myślę, że moje środowisko i Solidarność Walcząca tylko przez przypadek nie były razem w tamtym czasie. Ich cele i metody były podobne, albo nawet takie same”

- podkreśla Rzewuski.

Po 1990 r. wszystkie bezkompromisowe odłamy opozycji antykomunistycznej były skazane na niepamięć.

Zepchnięto je na margines. Tak się stało też z Solidarnością Walczącą i z Grupami Oporu „Solidarni”. Rzewuski na uhonorowanie musiał czekać do 2009 r. – odznaczył go wówczas Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski prezydent Lech Kaczyński.

Tekst pochodzi z nr 12/2017 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ